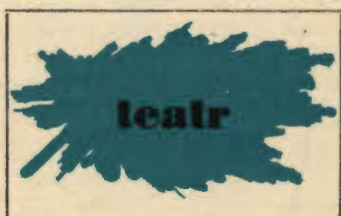




Barbara Rylska i Edmund Fetting w „My Fair Lady”. Musical reżyserowali w warszawskim Teatrze Komedia — T. Andrew, J. Biczyski, J. Zychówna



A WIĘC — BAWMY SIĘ!

Mamy już za sobą pierwsze warszawskie premiery. Rozpoczęliśmy sezon od lekkiego kalibru. Teatr Komedia wystąpił z musicaliem „My Fair Lady” a Syrena pokazała „Latające dziewczęta”.

Dochodzili do nas wieści o niebawym powodzeniu przeróbki shawowskiego „Pygmaliona” na musical, przeróbki, która przez całe lata utrzymywała się na Broadwayu. Potem libretto Alana J. Lerner'a z muzyką Fredericka Loewe stało się podstawą filmu z Audrey Hepburn w roli Elizy. I znowu film okazał się sukcesem, podobno nie tylko kasowym. Przekonamy się o tym nie prędko, bowiem filmowa wersja „My Fair Lady” należy do obrazów tak drogich, że zanim Centrala Wynajmu Filmów zdecyduje się go zakupić, sporo wody upłynie w Wiśle.

„My Fair Lady” zobaczyliśmy w komedii w tłumaczeniu Antoniego Marianowicza z piosenkami Janusza Minkiewicza. Tłumaczenie jest bardzo zręczne, gwarą przedmieść londyńskich, jaką mówi shawowska Galatea, w transkrypcji na język Targówka czy Pelcowizny — wypadła doskonale. A to w przypadku „Pygmaliona” jest sprawa wagi pierwszorzędnej. Połowa dowcipu tej sztuki leży w zabawie lingwistycznej.

Shaw z piosenkami i tańcami okazał się wcale strawny. Przeróbka — dość wierna, muzyka dobra — tłumaczy to powodzenie tego musicalu. Warszawskie przedstawienie, choć nie jest ono bez skazy, udało się.

Kwaciarkę Elizę, w czasie półrocznej przerobionej przez profesora Higginsa na damę, gra Barbara Rylska. Jest po prostu stworzona do tej roli; ma temperament i wdzięk, śpiewa i tańczy, a przy tym wszystkim prezentuje aktorstwo wcale dobrej próby. Do roli Higginsa zaproszono Edmunda Fettinga; mam wielkie uznanie dla tego aktora, dla jego wszechstronnych umiejętności, ale wydaje się, że musical wymaga większego głosu, większej rutyny śpiewaczki. Fetting brakuje w tej materii sztuki wcale nie najgorzej aktorstwem; w sumie jego Higgins jest może mniej musicalowy niżby mógł być, ale interesująco zagrany. Znakomicie wypadł Wojciech Rajewski jako ojciec Elizy, Alfred Doolittle.

I jeszcze dwa słowa o tytule. Pozostał on w brzmieniu angielskim ponieważ zawarta w nim gra słów jest nie do przetłumaczenia. Janusz Minkiewicz tak o tym pisze: „Od błędy można by określić „My Fair Lady” wyrażenie polskim wykrzyknikiem „O, piękna pani!”. Ale to w połowie tylko oddawałoby sens angielskiego oryginału. Angielski bowiem tytuł jest typowym kalamburem czyli tzw. grą słów. Autorzy kalamburu liczyli

się z tym, że anglosaski odbiorca, słysząc słowa „My Fair Lady”, usłyszysz jednocześnie identycznie niemal brzmiące „May fair lady”, co znaczy po polsku „pani z majowego targu”. Takie tłumaczenie również byłoby nieprecyzyjne, gdyż „May fair” czyli „majowy targ” nie jest już w Londynie zjawiskiem znanym, a tylko jako pamiątka po nim pozostało słowo „Mayfair”, nazwa najelegantszej dzielnicy metropolii.

Autorzy chcieli w angielskim tytule zawrzeć dwie myśli: o pięknej pani i o tym, że piękna pani stała się ozdobą najpiękniejszej dzielnicy.

„Latające dziewczęta” Marca Camoletti to typowa komedia bulwarowa z happy endem. Trzy stewardessy i jeden mężczyzna. Miłość regulowana międzynarodowym rozkładem lotów. Nowoczesny harem funkcjonuje gładko, dziewczyny bowiem nie o sobie nawzajem nie wiedzą. Kiedy jedna fruwa nad Ameryką, druga jest w Indiach, trzecia w tym czasie krąży u boku ukochanego. Ale któregoś dnia zła pogoda nad dużą częścią najlepszego ze światów psuje świetnie ułożony harmonogram.

Rzecz jest zaledwie poprawna, humor nie zawsze najwybredniejszy, ale Irena Kwiatkowska w roli pokojówki narzeczonego trzech dziewcząt — warta zobaczenia. A także Kazimierz Brusikiewicz grający Roberta, przyjaciela paryskiego Casanovy. Sam Casanova to Janusz Byliczyński. Lidia Korsakówna, Mirosława Krajewska oraz Elżbieta Nowacka grają latające dziewczęta.

Spektakl reżyserowany przez Czesława Szpakowicza ma dobre tempo, jest sprawny, ale za to tenże sam Czesław Szpakowicz występujący również w charakterze scenografa spisał się dość gorzej. Scenografia jest naprawdę bardzo niedobra. Aż przykro patrzeć na to pozabawione cienia gustu i wdzięku wnętrze.

(EL. ŻM.)



I OPOWIADANIA WSPÓŁCZESNE

JERZY STEFAN STAWIŃSKI znany jest zarówno jako scenarzysta (m. in. „Kanał”, „Zezowate szczęście”) i reżyser filmowy („Rozwód nie będzie” i „Pingwin”) jak też jako autor poczytnych powieści i opowiadań. W swoim literackim dorobku ma już dziewięć książek, a wśród nich powieści: „Herkulesy” i „Pogoń za Adamem”.

Na najnowszą pozycję wydawniczą Stawińskiego złożyły się trzy opowiadania w tomie WIECZÓR PRZEDŚWIĄTECZNY (Czytelnik; cena 12 zł). Pierwsze z nich — „Pingwin” znane już jest szerokiej publiczności z realizacji ekranowej. Konfrontacja obu wersji tego utworu jest interesującą przy-